



LEGENDY
HEINRICHSDORF

ALINA KAROLEWICZ



LEGENDY
HEINRICHSDORF



Ilustrował
Radosław Barek

Henrykowskie Stowarzyszenie w Siemczynie
2016 r.

© Copyright by Henrykowskie Stowarzyszenie w Siemczynie 2016
Wszelkie prawa zastrzeżone



Wydawca: Henrykowskie Stowarzyszenie w Siemczynie

Adres redakcji:
Siemczyno 81, 78-551 Siemczyno

Autor: Alina Karolewicz

Ilustracje: Radosław Barek

ISBN: 978-83-941167-5-0

druk: www.tempoprint.pl



PODZIEMNY KORYTARZ



Przejeżdżając przez Siemczyno nie można nie zauważyć kościoła o eleganckiej, strzelistej sylwetce, jakby zbyt wytwornego dla tego miejsca. Po drugiej stronie drogi uważny obserwator dostrzeże... Tak, prawdziwy osiemnastowieczny pałac z kolumnami przed wejściem, otoczony zabytkowym parkiem, w którym drzewa chyłą się ku sobie, jakby szepcząc opowieści sprzed kilku wieków.

Dawniej żył na tej ziemi potężny magnacki ród Goltzów, z którym musieli się liczyć nawet królowie. Od średniowiecza Goltzowie władali tą krainą lasów i jezior, a na początku XVIII wieku zbudowali sobie siedzibę na miarę potęgi swego rodu – pałac wzorowany na Wersalu. A że byli to ludzie szlachetni i pobożni, nieco wcześniej ufundowali kapliczkę, do której po pewnym czasie dobudowano kościół, by mogła się w nim modlić cała społeczność wiejska. Co niedziela okoliczny lud schodził się tu, by dziękować Bogu za życie, zdrowie i rozumiejących ludzką biedę panów.

Kapliczka, którą možny pan Goltz z rodziną często odwiedzał, była misterna jak rodowy klejnot – z zewnątrz skromna, z wysoko umieszczonymi witrażowymi oknami i wąskimi drzwiczkami. W środku zaś – prawdziwe barokowe cacko – bajecznie kolorowe, malowane ściany, złote gwiazdki na granatowym jak noc suficie, mnóstwo rzeźbionych, świętych figurek, kwiatów i rodowych ornamentów. Do tego niezwykłego pomieszczenia przez maleńkie, umieszczone w zakrystii drzwiczki pozwolono wchodzić tylko jednej osobce – kilkunastoletniej córce organisty. Miała kapliczkę sprzątać i co niedziela dekorować świeżymi kwiatami, a przed mszą zapalać świece. Aby je pogasić, dziewczyna mogła wrócić dopiero po zachodzie słońca. Dziwne, prawda? Ale córka organisty o nic nie pytała. Była szczęśliwa, że może przebywać w tym bajecznym, jej zdaniem najpiękniejszym na świecie miejscu.

Pewnego razu, gdy już rozpoczęło się niedzielne nabożeństwo, dziewczyna przypomniała sobie, że nie zapaliła jeszcze świec.

- Co robić? – myślała przerażona. Ksiądz zaraz wychodzi do ołtarza, ojciec zaczyna już grać pieśń na wyjście, państwo jak zwykle w pierwszym rzędzie klęczą, zapatrzeni w święte obrazy, kościół pełen ludzi ... Może by się przemknąć i zapalić te nieszczęsne świece? Ale czy zdąży? Jest ich tak dużo...

Cichutko otworzyła wąskie drzwiczki i ... Prawie krzyknęła z wrażenia. Przed bogato zdobionym ołtarzykiem, na pięknym, obijanym aksamitem foteliku siedział złotowłosy chłopiec. Wpatrzony w barwione witrażowymi szybkami promienie słońca, nie od razu ją zauważył. Był taki spokojny, miał niespotykane jasną, łagodną twarz. Tylko dlaczego się nie ruszał? Od stóp aż po ramiona przykryty tkanym złotą nitką pledem wyglądał jak figurka odpoczywającego po locie anioła. Ta jego jasna, promienna twarz...

Dziewczynka, chcąc sprawdzić, czy jej się to nie śni, dotknęła delikatnie złotych włosów chłopca. Ten ocknął się z zamyślenia, uśmiechnął się i zapytał po prostu:

- Kim jesteś?

Tak zaczęła się tajemnicza historia córki organisty z Heinrichsdorf (tak kiedyś nazywało się Siemczyno) i Fryderyka – niepełnosprawnego potomka rodu Goltzów, którego rodzice chronili przed nie zawsze tolerancyjnym światem jak umieli i mogli. Przygotowali nawet wrażliwemu na piękno, niezwykłemu chłopcu cudną kaplicę, by mógł, tak jak wszyscy, co niedziela uczestniczyć w świętym obrzędku. Nie chcieli jednak, by ktoś oglądał jego nieruchome nogi i krzywe, niesprawne ręce. Kazali więc zbudować podziemny korytarz, łączący ich pałac z kaplicą, by Fryderyk miał własną drogę do świata i świętości.

Wiejska dziewczyna polubiła złotowłosego, nieruchomego chłopca o pięknej twarzy. Robiła wszystko, by spotkać się z nim choćby w czasie niedzielnej mszy. Fryderyk polubił ją także.

Pewnej jesieni chłopiec umarł. Córka organisty zamiast niego zobaczyła w kaplicy srebrnego gołębia z kilkoma złocistymi piórkami na grzbiecie. Tym razem też o nic nie pytała.

Ludzie w Siemczynie powiadają, że odkąd i ona nie żyje, w kaplicy co niedziela słychać gruchanie pary gołębi. A czasem nawet można je zobaczyć, jak znikają w tajemnym, podziemnym korytarzu.









**STARY
BARON**



Przechodzimy, bardzo proszę, przechodzimy! – właściciel pałacu dość energicznie kierował grupą, którą oprowadzał po obiekcie. Miał na sobie imponujący strój szlachecki z żupanem, kontuszem, pasem słuckim i futrzaną czapką z piórkami przypiętymi ozdobną broszą. Całości dopełniała prawdziwa szabla u boku. Wyglądał równie malowniczo, co majestatycznie, a to znakomicie ożywiało dalekie od dawnej świetności wnętrze trzystuletniej magnackiej posiadłości. Świece, które mieliśmy w rękach, wydobywały z czerni nocy i szarości starych murów puste przestrzenie, które ten energiczny mężczyzna wypełniał życiem dawnych mieszkańców. A robił to znakomicie! W pałacu nie było ani jednego mebla, ani jednej filiżanki czy choćby pluszowej kotary, gołe mury i marmury ożywały jednak, pobudzone historycznymi ciekawostkami i pasją przewodnika. A do tego ta noc! Lipcowa, gorąca, grająca odgłosami usypiającej wsi i ogromnego, zabytkowego parku z pobudzającą wyobraźnię aleją grabową!

Nocne zwiedzanie pałacu było jedną z atrakcji Dni Henrykowskich, organizowanych od kilku lat wokół Pałacu Siemczyno. Przyciągnęło kilkudziesięcioosobową grupę turystów-śmiałków, którzy, tak jak my, szukali nie tylko wiedzy, ale przede wszystkim ekscytujących przygód. W końcu to nie lada gratka, takie błędzenie w ciemności po zakamarkach zakurzonego, choć niegdyś imponującego, lśniącego bogactwami obiektu. Liczyliśmy na niesamowite przeżycia. Póki co jednak nic wielkiego się nie działo. Charyzmatyczny właściciel przegonił nas po pamiętających średniowiecze piwnicach, pokazał marmurowy kominek z portretem psa, podzieloną na małe klatki dawną salę balową i dwubiegową klatkę schodową. A, jeszcze świetny strych z oryginalną więźbą dachową, szkoda tylko, że puściutki.

- Znajdujemy się właśnie w sali muzycznej, jednej z największych w pałacu – kontynuował opowieść kontuszowy przewodnik. - Tu dawniej państwo przyjmowali gości lub też spotykali się w gronie rodzinnym, by wspólnie muzykować. Korzystając z licznie zgromadzonych instrumentów grano tu i śpiewano Bacha, Scarlattiego, Mozarta. Zwróćmy uwagę na ogromny, zachowany do dziś kominek z autentycznego zielonego marmuru nilowego...

Kominek przyciągnął nasz wzrok tylko na chwilę, bo o wiele ciekawsze od niego były dźwięki klawesynu – takie barokowe, spiętrzone

kaskady delikatnych nutek. Kto gra? Gdzie? Wokół tylko ciemność, rozpychana po kątach płomykami naszych świeczek. Rozglądaliśmy się zafascynowani. Jakaś niespodzianka? Super! Pewnie gdzieś są ukryte głośniki.

- O, znowu – mruknął właściciel pałacu. Był jakoś dziwnie zmieszany, zniknęła bezpowrotnie jego pewność siebie. – Spokojnie, proszę państwa, to się zdarza.

„To się zdarza”??? Koncert w środku nocy? To chyba dobrze, więc... Nie rozumieliśmy jego konsternacji. Woleliśmy poddać się czarowi muzyki. Ale teraz słyszeliśmy coraz więcej. Gwar, jakby szuranie krzesel po parkiecie, jakieś chichoty, brzęk szkła. Ktoś tu jest oprócz nas? Pałac był pusty, kiedy wchodziliśmy. O co chodzi?

Nagle otworzyły się drzwi sąsiedniego pomieszczenia, z którego te wszystkie odgłosy dobiegały. Zobaczyliśmy zalaną światłem salę biesiadną z kilkunastoma osobami siedzącymi przy suto zastawionym stole. Kryształowe kandelabry, porcelana, srebra – wszystko jak żywe, jak sprzed dwustu lat. Pieczone bażanty, kaskady owoców, wino w załamujących światło, szklanych pucharach. I ludzie! Radośni, rozbawieni, z rumieńcami emocji i błyskiem w oczach toczyli rozmowy przy stole, śmiali się, flirtowali. Panowie już nieco rozochoceni, panie wytworne, choć niezbyt skromne, próbowały wachlarzami nieco ochłodzić rozgrzane winem i zabawą dekolty.

Patrzyliśmy na to wszystko jak zaczarowani. Ale impreza! Ludzie to potrafią zaszaleć! I niekoniecznie w karnawale – przecież jest środek lata. Muzykę też mają znakomitą – klawesyn na żywo. Co za fantazja! O, będą tańce? Naprawdę?

Wszystko na to wskazywało. Rozentuzjasmowani biesiadnicy na znak jednego z nich wstali od stołu i parami ruszyli w naszą stronę. Najpierw czterej lokaje z ogromnymi ozdobnymi świecznikami w rękach wkroczyli między nas, by rozświetlić mroczne, mimo naszych świeczek, pomieszczenie, a po chwili przystojny, potężnej postury mężczyzna w barokowym, francuskim stroju (wyglądał prawie jak Ludwik XIV!) poprowadził korowód taneczników prosto na nas. Rozstąpiliśmy się urzeczeni widowiskiem.

Lśniące pastelowymi, iskrzącymi klejnotami i drogocennymi ozdobami strojami sylwetki tych niezwykłych gości krążyły środkiem sali w ekstatycznym tańcu, jakby nas tam w ogóle nie było. Nie zwracając uwagi na letnich turystów w szortach i klapkach wirowali w rytm klawesynowego menueta czy gawota. Panie sunęły majestatycznie w ogromnych, bajecznie szerokich sukniach, zalotnie zerkając w stronę panów w błękitnych i liliowych ffraczkach z falbaniastymi żabotami i koronkowymi mankietami. Złote buty na obcasach i białe pończochy do kolan dopełniały całości męskiej elegancji. Ale najlepsze były ich fryzury. I kobiety, i mężczyźni nosili potężne, białe peruki – panie miały półmetrowej wysokości koki z tysiącem kokardek, kwiatów i koralików, panowie cudne białe loczki spięte z tyłu w gustowny warkoczyk albo luźno powiewające na ramionach niemal do łokci. Co to za ludzie? Chichoty, piski, rubaszne pochrząkiwania inkrustowały ten migotliwy taneczny kalejdoskop.

Pojęcia nie mam, jak długo to trwało, bo staliśmy wokół nich jak zaczarowani, wpatrzeni w tę żywą bajkę jak dzieci. W końcu ten potężny mężczyzna w złocistym stroju stanął przy drzwiach, co najwyraźniej było znakiem do odwrotu. Taneczny korowód leciutko jak barwna mgiełka wrócił do sali biesiadnej, lokaje zabrali świetliste kandelabry, drzwi się zatrzasnęły. Przez chwilę jeszcze było słychać rumor, szuranie krzesłami, śmiechy, brzęk sztućców i szkła, wreszcie ucichły i one, i muzyka.

- Widzieli państwo, co się tu dzieje – przerwał nasze milczenie kontuszowy przewodnik. – Zapraszam dalej, obejrzymy kolejne pomieszczenia.

Najwyraźniej próbował zbagatelizować to, co się wydarzyło. Ale my chcieliśmy wiedzieć kto to był, o co tu chodzi, dlaczego wszystko ucichło i czy możemy tam wejść. Teraz, natychmiast. Zasypaliśmy go pytaniami.

- Wejść tam? Oczywiście. Bardzo proszę – mruknął i otworzył drzwi, za którymi zniknęli przed chwilą baśniowi tancerze.

Ciemność, pustka, nic. Tak samo jak w całym pałacu. Nasze świece nic nie pomogły, wszystko zniknęło. Ale przecież tu byli. Widzieliśmy ich, słyszeliśmy gwar i muzykę. O co chodzi?

- No już dobrze, powiem państwu. To już nie pierwszy raz stary baron robi takie widowisko. On kocha ten pałac, swoich gości, bale i muzykę, więc co jakiś czas tu wraca. Baron von Arnim. Kupił Heinrichsdorf i oczywiście ten pałac od rodziny von Goltz i rozgościł się w nim po swojemu. Uwielbiał zabawy, polowania i biesiady, kochał muzykę i tańce, a że majątek miał dość spory, używał życia ile się dało. Do czasu. Wszystko się skończyło, gdy skończyły się fundusze. Przyszły chude lata, których stary baron nie mógł znieść. Nie umiał żyć bez swoich hulanek i swawoli, więc upadły majątek przepisał na swego syna, a sam utonął w smutku i gnuśności. Spadkobierca musiał z tego powodu żyć bardzo oszczędnie. Niestety, nic to nie pomogło i posiadłość poszła pod młotek, a zrozpaczony młody właściciel popełnił samobójstwo. Z tego powodu rozrzutny ojciec musiał odpokutować swą winę, nie zaznając spokoju po śmierci.

Od tej pory w pałacu dzieją się dziwne rzeczy, szczególnie w godzinę duchów. Czasami zdarza się podczas pełni księżyca, że wszystkie świece na wielkim kandelabrze w sali rycerskiej, tej, w której teraz jesteśmy, zapalają się same. Długi stół nakrywa się licznymi potrawami, jak podczas wielkiego święta. Za stołem siedzi zaś duch starego Arnima. Innym razem – tak jak dziś – pojawiają się goście wyglądający jak przeniesieni z Wersalu, a klawesynowe melodie słychać w całej okolicy. Ale najczęściej stary baron snuje się nocą po pałacu w samotności i to jest dla niego największa kara. Może słyszeli państwo o białej damie ukazującej się w okienku na strychu naszego pałacu? Właśnie. Nie wiercie państwo w te bajki. Tu nie ma żadnej białej damy. To tylko stary baron von Arnim odbywa wieczną pokutę za hulaszczę życie i śmierć swojego syna. Tak, widzieli go państwo przed chwilą. To ten najwyższy, w stroju lśniącym złotem. Wciąż mu się to udaje...

Tej nocy nie chcieliśmy już chodzić po pustym pałacu. Niemal w milczeniu opuściliśmy pełne tajemnic mury, by jeszcze na chwilę usiąść wśród malowniczych drzew przypałacowego parku. Zerkaliśmy od czasu do czasu na okienka pod dachem, ale nawet najmniejsze światelko już w nich się nie pojawiło. Może uda się je zobaczyć innym turystom. Albo nam w przyszłym roku.





Pałac Siemczyno